Rok I. Kraków, dnia 1. kwietnia, 1903. Nr. 3.

PRZYSZŁOŚĆ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY

WYCHODZI 1. I 15. KAŻDEGO MIESIĄCA

WARUNKI PRZEDPŁATY: Dla miejscowych miesięcznie 80 hal., dla zamiejscowych 1 kor. Numer pojedynczy 40 hal. — Prenumeratę można także składać rocznie, półrocznie i kwartalnie.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Wielopole 5.

Rękopisów nie zwraca się.

OD REDAKCYI.

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że „Przyszłość“ przechodzi z dniem dzisiejszym na własność p. Adama Wilusza, słuchacza filozofii na U. J., który będzie równocześnie naczelnym i odpowiedzialnym redaktorem. Ponieważ założyciel pisma, p. Antoni Balicki ustąpił zupełnie, zawiązał się nowy komitet redakcyjny, który jednak przy zasadach w słowie wstępnem, w pierwszym numerze „Przyszłości“ wypowiedzianych, stanowczo pozostaje.

W maju b. r. zostanie pismo rozszerzone i zamieni się na ilustrowane. Będziemy dokładali wszelkich starań, by wydawnictwo odpowiadało wymogom artystycznym. Dział literacki rozszerzymy o tyle, że oprócz utworów z zakresu literatury pięknej, umieszczać będziemy wybitniejsze prace naukowe, dostarczane przez słuchaczów uniwersytetu. Cena prenumeraty nie ulegnie w tym wypadku podwyższeniu.

Zwracamy się więc do Was Koledzy, Koleżanki i Wszyscy Młodzi, którzy z przychylnością przyjmujecie okazanie się naszego pisma, z usilnem wezwaniem o poparcie, o zaprenumerowanie „Przyszłości“ i nadsyłanie do niej prac Waszych, gdyż są to dwa nieodzowne warunki, by pismo to istniało i aby się stało rzecznikiem Waszych pragnień i myśli.

Kilka uwag na temat społeczny.

I. (Ciąg dalszy.)

Zanim zastanowię się nad przyczynami, powodującemi ową Scyllę i Charybdę, o której wspomniałem, muszę zaznaczyć, że z rozpatrywań moich wyłączam w tym wypadku nieliczne, prawie wyjątkowe siły młode, wstępujące w życie akademickie z planem pracy obywatelskiej z góry ułożonym, stawiającym jasno cel ich dążeń i wyraźnie zaznaczającym drogę, która do obranego celu prowadzi.

Już w poprzednim artykule służącym jako wstęp do moich uwag, starałem się zaznaczyć stanowisko, jakie zajmują poszczególne stowarzyszenia akademickie wobec nowych przybyszów. W stanowisku tem upatruję jedną z głównych przyczyn owej Scylli i Charybdy. Owe patetyczne, gołosłowne odezwy, powołujące się częstokroć na problematycznie świetną przeszłość, na epokowe dzieła, na atrakcyjne przyjemnostki towarzyskie i t. p. — czemże innem nie są one, jak tylko agitacyą, która ma na celu wzmocnienie jakiejś partyi ilościowo a nie jakościowo? Odezwy nie są jedynym środkiem agitacyi, jest ich daleko więcej, choćby przytoczyć jeszcze jeden ze znaczniejszych, owe żywe reklamy w postaciach członków któregokolwiek ze stowarzyszeń, uwijających się około nowicyuszów, którym udzielają koleżańskich wskazówek: „wiesz co? zapisz no się tam a tam, powiadam ci znajdziesz to a to, wybijesz się, zaopiekuję się tobą". Wstępuje więc nowy kolega do stowarzyszenia i zaraz u wstępu spotyka się z objawem niezdrowym, który musi oddziaływać ujemnie na jego pojęcie o wypełnianiu obowiązków społecznych — zastaje wybory. Najczęściej nie zna kandydatów na przeróżne godności, ale przyjaciel, który go wprowadził, nie ominie przecież sposobności do uzyskania głosu na „upatrzonego". A więc wynosi pod niebiosy zasługi jednego, grzebiąc kryminalnymi zarzutami przeciwnika. A wszystko dzieje się pod najściślejszem słowem. Nie będę kreślił dalej obrazków tych parlamentarnych zapasów naszej młodzieży, znane są one każdemu. Jeżeli wspominałem o tej politykomanii, a właściwie o tem robieniu polityki, przeciw której to wadzie podniósł się niedawno tak poważny głos jak akademika Dubanowicza, prezesa jednego z najwybitniejszych stowarzyszeń akademickich „Czytelni akad." we Lwowie — to tylko dlatego, ażeby zaznaczyć, że ów zastraszający wir umysłowy nie ustaje z chwilą wstąpienia do towarzystwa, przeciwnie wzmaga

się, wytwarza sceptycyzm i zwątpienie i przyczynia się do przeniesienia dzielnych sił z pola działalności społecznej na pole osobistych zabiegów. Nieetyczne i nierozumne postępowanie stowarzyszeń mści się na ich rozwoju i przyszłości. Upadają one jedno po drugiem, a przyczyn upadku szukają nie tam gdzie należy.

Nie twierdzę wcale, by całą winę za rozstrój wewnętrzny wśród młodzieży ponosiły wyłącznie stowarzyszenia. Gospodarze nieodpowiednio przyjmują swych gości, ale i ci ostatni na lepsze przyjęcie nie zasługują. Nie wdając się w krytyczny rozbiór korzyści wynoszonych przez młodzież z nauki w gimnazyach, musimy przyznać, iż zakres jej wiadomości, odnoszących się do nauk społecznych, równa się zeru. Ale abstrahując już zupełnie od naukowego zrozumienia zadań społecznych w najogólniejszych zarysach, nie możemy nawet przyznać nowostępującym jakoby mieli odpowiednio wyrobiony pogląd na nasze społeczeństwo, jakoby mieli otwarte oczy na drogi, któremi to społeczeństwo obecnie postępuje i jakie są jego najżywotniejsze potrzeby. Jednem słowem przychodzą zupełnie nie przygotowani do działalności, jaka ich oczekuje, nie przygotowani w teoryi, bo o tem nie myśleli, ani też w praktyce, bo zarówno sposobności do tego nie mieli, jak też i potrzebnych warunków. I oto jaki obraz przedstawia nam się, gdy patrzymy na najmłodszych tych kolegów. Dadzą się wśród nich rozróżnić cztery główne typy: po pierwsze tacy, którzy w pełnem posiadaniu podstawowych wiadomości z zakresu nauk, udzielanych w gimnazyum, a równocześnie w poczuciu nieudolności do zajmowania się kwestyami społecznemi przystępują do specyalnych badań w obranym przedmiocie i wkrótce, gdy zakosztują rozkoszy prawdziwej wiedzy, zapominają o całym świecie i przyjmują pozę młodych uczonych — po drugie tacy, którzy przy nieznajomości stosunków społecznych nie wynieśli w dodatku korzyści z nauki gimnazyalnej i u wstępu do studyów na uniwersytecie rozpaczliwe czynią wysiłki, by uzupełnić braki i stworzyć sobie trwałe podstawy do dalszych badań; ci już z samego braku czasu i przemęczenia umysłowego kwestyami społecznemi się nie zajmują — po trzecie tacy, którzy w błędnem mniemaniu o zrozumieniu zadań społecznych lub też w celu ich nabycia wstępują do któregoś ze stowarzyszeń i tam niby działają, a właściwie marnieją — i wreszcie po czwarte tacy, którzy przypatrzywszy się przez pewien czas całej działalności młodzieży, zniechęceni i nie mogący znaleźć należytego poparcia, usuwają się na ubocze z całym zasobem sił niezużytych i pożytecznych, głębszych myśli. (C. d. n.)

„Encyklopedya wychowawcza“.

Koniec wieku XIX-go i początek XX-go nosi na sobie cechę dziwnego, a niemal powszechnego zobojętnienia dla pedagogii. Troski rodziców, większe dziś niż kiedykolwiek, o edukacyę dzieci, z tradycyjną edukacyą, z prawdziwą pedagogiką związku prawie nie mają. Większości rodziców chodzi teraz prawie wyłącznie o zapewnienie bytu materyalnego jednostkom, szuka się też środków dopięcia tego celu. Bez wątpienia — jak zawsze i wszędzie, znajdziemy i tu wyjątki: są rodzice, którzy nie spuszczają z oka i wyższych celów w edukacyi dzieci, ale szukając dróg do ich osiągnięcia, rzadko umieją lub mogą wynaleźć odpowiednie, marnują się też ich usiłowania. Stąd wynika, że dzieło wychowania nader smutnie wygląda.

Skutki tego nie dla wszystkich zapewne są widoczne, ale kto trzyma rękę na pulsie pedagogiki, czuje, że bije on nie prawidłowo. Objawy groźne takiego stanu rzeczy stawać się będą coraz widoczniejsze i dla dalej stojących od spraw wychowania, wywołują one i dążność do naprawy złego. Tylko — czy nie będzie za późno?

Wśród takiego nastroju społeczeństwa dla naszej sprawy, ukazywanie się tak poważnej publikacyi jak „Encyklopedya wychowawcza“, budzi podziw dla tych, którzy koło niej się krzątają.

Kto się rozpatrzył w tem wydawnictwie, pyta: czemu to przypisać, że rodzice nasi, którzy składają codziennie takie dowody miłości, poświęcenia dla dzieci, mogą się obywać bez dzieła, które tyle spraw wychowawczych omawia, a omawia piórem ludzi w naukę i doświadczenie bogatych? Czy brak wiary w skuteczność pedagogii jako nauki, czy niewiadomość, że na pytania te, które codziennie stawiają sobie w trosce o dzieci, na które szukają rady u ludzi fachowych — tam właśnie znajdą odpowiedzi — jest przyczyną, iż w dzieło to nie jest zaopatrzona każda rodzina?

Nie łatwo sobie zdać sprawę, jakie tego zjawiska przyczyny, ale jest to faktem, że skądinąd tak wzorowi rodzice i wychowawcy, tak pilnie rozczytujący się w dziełach różnorodnych specyalności, nie żałujący nakładów na książki inne, nie zaopatrzyli się w to dzieło. Niech czytelnik zada sobie ten trud i zapyta w kołach swoich znajomych, ilu z nich może wykazać w swoim księgozbiorze „Encyklopedyę wychowawczą“. Niżej podpisany zaledwie zna kilka takich rodzin.

Niepodobna mi tu zdawać sprawy z bogactwa treści pięciu tomów tego dzieła; ograniczę się też tylko na trzecim zeszycie tomu VI.

Sprawy nauczania katechizmu omawia ks. S. K. Wesołowski, kazań dla uczniów ks. Jełowicki. Kwestye hygieniczne, mianowicie znaczenie i sposób użycia kąpieli wyjaśnia dr. St. Kopczyński; o kołysaniu dzieci rozprawia dr. I. Brudziński, a o zadaniu i zbawiennych skutkach kolonii letnich poucza w gruntownie a pięknie napisanym artykule dr. St. Markiewicz.

Z dziedziny wychowania moralnego spotykamy tu traktat bardzo zajmujący o kłamstwie u dzieci St. Karpowicza i świetną rozprawkę p. I. Moszczeńskiej o znaczeniu koleżeństwa wśród młodzieży.

Historyi wychowania poświęcili swe prace: Piotr Chmielowski, dając nam obraz pedagogicznych zasług Kołłątaja; Henryk Galle kreśli dzieje kolonii akademickich; prof. Finkel tłómaczy znaczenie kollokwium i kollaboratorów pedagogicznych; S. Dickstein opowiada o znakomitym naszym uczonym Adamie Kochańskim; dr. Danysz mówi o kollegiach i rozpoczyna rozprawę szeroko traktowaną o Janie Komeńskim. Znajdujemy też z tego działu artykuły o Grzegorzu Knapskim przez I. K.; Karol Kehr opracowany został przez R., a Kluk Krzysztof przez G. Ch. i R. P.

Wszystkie artykuły obok gruntowności odznaczają się przystępnym sposobem wykładu, a często wdziękiem stylu. Strona metodyczna, gwoli zapewne popularności, niezbyt obciąża te prace, co na tem miejscu na pochwałę zasługuje; rozciągłość artykułów zastosowano do ważności tematów.

Dla dania przykładu żywotności, jaką wydawnictwo to jest przejęte, przytoczę wyjątek z artykułu p. Moszczeńskiej — o koleżeństwie.

„Koleżeństwo jest w znacznej mierze szkołą życia społecznego, a wiemy, jak ogromnie decydujący wpływ na losy człowieka wywiera nieraz jego umiejętność życia z ludźmi, przystosowania się do nich lub przystosowania ich do siebie, t. j. wywierania na nich wpływu, odpowiadającego naszym dążeniom i ideałom. Jeżeli stosunki, łączące ludzi między sobą, podzielimy na trzy kategorye, t. j. stosunek zależności, władzy lub opieki i wreszcie stosunek równości, to przekonamy się, że pod tę kategoryę podciągnąć można najliczniejsze węzły, jakimi nas życie wiąże. To też, choć ważną jest rzeczą, aby każdy umiał słuchać i rozkazywać, jednakże w obecnych warunkach społecznych sto-

kroć ważniejszą jest, aby umiał się zgadzać, swojej indywidualności się nie zapierając, cudzą uwzględniać i uszanować, a na mocy wzajemnych ustępstw lub wzajemnie udzielonego poparcia drugim i sobie życie ułatwiać.“

Tego uczy właśnie koleżeństwo i dlatego autorka uważa je za bardzo ważny czynnik wychowawczy. W rozprawce tej uwzględniono i złe, na które życie towarzyskie młodzież narażać może; podano też i sposoby zapobiegania wpływom szkodliwym; przytoczono dodatnie i ujemne typy zakładów wychowawczych, mogących źle lub dobrze wpływać na młodzież, przedstawiono znaczenie wpływu domu rodzicielskiego na urabianie charakteru młodzieży.

Nie taję, że w artykule niniejszym pragnąłem podnieść znaczenie społeczno-wychowawcze „Encyklopedyi“. Tak jest, bo chociaż są inne ważne i bardzo ważne potrzeby w naszem społeczeństwie, to ważniejszej nad wychowanie młodzieży nie widzę; a niema też żadnego wydawnictwa, któreby lepiej do celu prowadzić mogło nad to, o jakiem przyszło mi dzisiaj pisać.

Floryan Łagowski.

SZYBY.

Wyrzeźbił mróz kryształne swoje sny na szybie,
Sny, pełne zaświatowej, nieziemskiej tęsknoty:
Białe ogrody, lśniące brylantami groty,
Srebrne kwiaty, firanki, modre skrzelki rybie.

W tych kwiatach, w tych firankach dziwny czar się kryje!
Dziewiczych, białych marzeń siedmiobarwna tęcza
I jakieś złote śnienia, jakaś baśń pajęcza
Po rozkwieconych szybach wije się i wije...

O, bądź błogosławiona, jasnych snów potęgo!
O, bądź błogosławiona ciszo innych światów,
Co wiją się tęczami, lazurową wstęgą...

I ja też miałem tęcze, wieńce srebrnych kwiatów,
Marzenia o jutrzence, cudne sny z opalu;
Ale mi znikły... płomień je przetopił żalu...

Zygmunt Różycki.

HEKACIE!

Władczyni cieniów! i dziś żyjesz jeszcze, siejesz zniszczenie i trwogę dokoła — kędy spojrzenie rzucisz swe złowieszcze, tam żal i smutek opada na czoła — ale przed blaskiem twej groźnej pochodni drżą dzisiaj tylko podli i niegodni.

Błądzisz po świecie z poboczną swą strażą i jadem kąsasz myśl szlachetną, wielką... tych, co potędze twej oprzeć się ważą, w proch chcesz zamienić, ludów trucicielko! — I to, co szczytne, co pełne zapału, w przepaść chcesz rzucić — pełna sama kału!

Mieszkanko piekieł, Hekato podziemna! wstąp, wstąp na wieki w czeluści otchłanie, niech imię twoje noc pokryje ciemna, niechaj po tobie nic nie pozostanie oprócz przekleństwa, co twą drogę znaczy, której ci ludzkość i Bóg nie przebaczy!

Marya Sokolnicka.

ZOFIA WÓJCICKA.

„O IBSENIE".

(ODCZYT W UNIWERSYTECIE LUDOWYM IM. ADAMA MICKIEWICZA W KRAKOWIE.)

Szerokie, bezdenne, bezkreśne morze, odbijające w burzliwych falach ciężkie północne niebo z korowodem ołowianych chmur, gnanych wichrem... Morze, biegnące w silną nieskończoność i rozmawiające z Nią — dumnym, głębokim, bolesnym porykiem fal. Morze, przypadające gwałtownym tonem do zimnych, nagich, poszarpanych skal, odbiegające od ziemi z pianą gniewu, oburzenia i buntu, aby znów powrócić do niej i objąć ją miłosnym uściskiem. Poszarpane, ciężkie, smutne niebo — poszarpane, nagie, zimne skały — poszarpane, falujące tragiczne morze — oto twórczość — dusza Henryka Ibsena. Zna on tylko wyniosłe, niedostępne innym szczyty — tylko przepastne, niezmierzone głębie — tylko dalekie, nie objęte zwykłem okiem bezkresy. Wielki, północny orzeł o potężnych skrzydłach, o tchu szerokim, ale i o ostrych szponach osiadł na skalistej turni gór Norwegskich i patrzy stamtąd orlim wzrokiem na smutną a ukochaną całą mocą orlego serca ojczyznę swoją. Patrzy na jej świątynie i szkoły, na jej pola i miasta, na jej troski i radości, na jej marzenia i cele. Wytężonym słuchem chwyta dochodzące go modlitwy jej i jęki, okrzyki i westchnienia. Przelatuje z poszumem orlich skrzydeł nad błękitem zacisznych fiordów i nad gwarem mrowisk ludzkich. Bierze w pierś wszystkie wyczute w niej i wysłuchane drgnienia i prądy,

a przetworzywszy je w ogniu królewskiego swego serca, wydaje te bóle i nadzieje, te skargi i chłosty, to życie narodu swego w pieśniach wielkich i mocnych jak dzwon.

Każdy dramat Ibsena, każde jego dzieło, to krzyk orla donośny, skupiony, pełny, spiżowy. Nie zrozumieją go kawki i gawrony, ani też domowe, pieszczone kanarki, które się urodziły w klatce. Ptak ten królewski i dziki śpiewa tylko dla równych sobie, wolnych istot, dla wyniosłych, górskich szczytów — dla dusz głębokich i silnych, jak jego własna. Bystrym wzrokiem przenika on wszystkie stosunki i węzły, jakie łączą ludzi, zagląda nim, aż pod ich czaszki i wydobytą stamtąd myśl rzuca im w twarz. Jam wolny i silny — kocham swobodę i siłę — kocham wolę — kocham dumę — kocham myśl szeroką, twórczą — kocham przedewszystkiem prawdę. Słabość, tchórzostwo i kłamstwo mają w nim nieprzejednanego wroga. Dojmawszy którą z tych harpii, zatapia w nią natychmiast ostre szpony dowcipu swego i nieubłaganej ironii i rozszarpuje bez litości. Jedno tylko ma bóstwo, do którego się modli, które uwielbia, które wszędzie wyczuć potrafi — wielka, święta, wolna dusza ludzka. Umie ją znaleźć i w wielkiej świątyni miłości i w dumnym przybytku twórczości artysty i w maleńkiej, wątłej piersi dzieci i niedorosłych dziewcząt.

Wszystkie te dusze zna, wszystkie kocha i rozumie. Silne i wielkie dusze Hildy Wangel, Rebeki West w „Rosmersholmie“, Jana Gabryela Borkwana, Stockmanna we „Wrogu ludu“ — wielbi i sławi czyste i słodkie, pełne miłości i prostoty duszyczki Jadwini w „Dzikiej Kaczce“, Thei Urster w „Heddzie Gabler“, Hafi Orsti w „Mistrzu Jomessie“, Asty, Małego Eyolfa, osłania potężnemi skrzydłami i do piersi tuli.

Człowiek — jego cierpienia i radości, jego upadki i wzloty, jego obowiązki i prawa — obchodzą go najsilniej. Dla przypomnienia o obowiązkach gotów obrazić na siebie naród cały i opuścić ojczyznę ukochaną. Dla wywalczenia praw gotów poświęcić całą twórczość swoją. Patrząc ani z boku — ani z ziemi — ale z góry, widzi bystro i trafnie. I nigdy nie zawaha się powiedzieć tego, co ujrzał i jak ujrzał. Ma odwagę przekonań, aż do lekceważenia następstw, aż do narażenia się na niezrozumienie i obrzucenie kamieniami, co go już nieraz w tej tak gorąco umiłowanej ojczyźnie spotkało.

Spostrzega więc z góry ustrój społeczny. Schodzi do ludzi, pokazuje im, jak w zwierciadle, błędy ich i słabości, ma odwagę

powiedzieć im: Strzeżcie się! Społeczeństwo wasze spoczywa na bagnie kłamstwa i prywaty! Ostrzegam Was, abyście osuszyli to bagno lub przenieśli mieszkanie, bo inaczej cały gmach ustroju waszego między-ludzkiego runie!

A ponieważ jest poetą, nie pisze piorunujących artykułów, ni broszur, ani też nie chłoszcze z kazalnicy. Ale ukazuje nam uczciwą i poważaną na pozór rodzinę „Konsula Bernicka“, której istnienie i spokój opiera się na długoletniem oszustwie. Konsul Bernick jest dobrym obywatelem, jest członkiem rozmaitych stowarzyszeń filantropijnych. Żona jego zajmuje się moralnie upadłymi i codzień obcuje z pastorem, który zebranym u niej gościom odczytuje moralne opowieści — przytem konsulostwo Bernickowie, to ludzie bogaci, posiadający warsztaty okrętowe, dające utrzymanie setkom ludzi. I używaliby spokoju i dobrej opinii po wieczność, jako prawdziwe i trwałe podpory społeczeństwa — gdy wtem wchodzi w ten dom nieubłagany, surowy apostoł prawdy — pan Henryk Ibsen i powiada: To fałsz! Wy nie macie prawa używać tak spokojnie owoców swojej pracy. Bo oto ten wasz szanowany, ten wasz uczciwy pan konsul, ta podpora waszego społeczeństwa, jest złodziejem i tchórzem! A tak — złodziejem i tchórzem! Kochając uczciwą i prawą żonę Hessel, porzucił ją i ożenił się z siostrą jej przyrodnią, Betty, bo ta odziedziczyła wielki majątek po ciotce. Gdyby był chociaż dla niej dobrym mężem! Ale wkrótce po ślubie zdradził ją z jakąś przejezdną aktorką, łamiąc i tamtej życie. Ponieważ trzeba było interesa firmy doprowadzić do porządku, ukradł krewnemu swemu Janowi Ormesen dobre imię, zwalając na niego cały ciężar winy oskarżeniem, iż przed wyjazdem do Ameryki zdefraudował pewną sumę, której brakło. Konsul Bernick nie jest dzisiaj lepszym, niż był wczoraj i dziś wysyła na morze „Gizelę“, okręt stary, spróchniały, źle naprawiony, o którym wie na pewno, że zatonąć musi.

Ale wszystkie te zbrodnie nie zaszkodziły mu w oczach opinii bo — wszak o tem nikt nie wiedział.

Na takich podporach oparte społeczeństwo, runąć musi! — ostrzega Ibsen gromiącym głosem, wołając wkońcu przez usta samego Bernicka: „Wiele u nas rzeczy wymaga gruntownej i uczciwej naprawy“.

A potem prowadzi nas wielka myśl poety do małej, kąpielowej miejscowości, która zdolnemu doktorowi Stockmannowi zawdzięcza wzrost swój i dobrobyt. Miasto całe czci i szanuje Stockmanna, jako dobroczyńcę. Ale doktor Stockmann, badając

wodę w wodociągach, przekonał się, że woda ta jest zatruta przeciekami z sąsiednich garbarni i jeżeli chce się sprowadzać dc miasta kuracyuszów, którzyby zdrowie a nie chorobę stąd wywozili, trzeba albo przebudować wodociągi, albo ogłosić publicznie że przyjeżdżać tu nie można, nie chcąc nabawić się zarazy.

Ale uczciwość kłóci się z interesem. Przebudowanie wodociągów kosztowałoby setki tysięcy, a gdyby się ogłosiło, że woda w miejscowości leczniczej jest niezdrowa, miasto podupadłoby, zubożało. „Tu idzie o byt nasz“ — woła ludność. „Tu idzie przedewszystkiem o uczciwość i prawdę!“ — woła dr. Stockmann. „Jesteś wrogiem naszym“ — woła lud, obrzucając doktora kamieniami.

„Oto społeczeństwo“ — mówi Ibsen. „Wszystkie nasze źródła życia moralnego są zatrute i cale nasze społeczeństwo spoczywa na gruncie, zarażonym kłamstwem.“

A słowa jego stosować się mogą nie tylko do społeczeństwa norwegskiego.

Gorzkie są — tem więcej gorzkie, im gorętsza miłość jego dla tego właśnie społeczeństwa.

Równie gorzkiemi słowy przemawia ten apostoł prawdy, pokazując w „Upiorach“ jak okropnie grzechy ojców mszczą sie na synach. Wstrząsający ten zgrozą dramat dał mu sposobność do stworzenia jednej z najpiękniejszych, najsilniejszych, najbardziej żywotnych i ludzkich postaci, matki pani Alring. I tutaj słychać ten zgrzyt, jaki dusza — wolna i silna, dusza, dążąca do prawdy i swobody wydawać musi w zetknięciu ze zgniłemi już wiązadłami, na których opiera się jeszcze społeczeństwo dzisiejsze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WSPOMNIENIA Z GUWERNERKI.

(FRAGMENT Z DZIENNICZKA.)

20. I. poniedziałek. (α.)

„Dobra“ guwernerka bywa zwykle celem westchnień dla tych, którzy zmuszeni są za kilkanaście złotych miesięcznie najeść się, ubrać i uczyć jeszcze do tego... a co mówić o tych, którzy i tych kilkunastu florenów na utrzymanie nie mają! — Ja zawsze utrzymuję, że głód jest największym wrogiem upośledzonej kieszeniowo ludzkości — gdyby nie on... A i inne są jeszcze powody, które skłaniają kompetentnych i niekompetentnych do starań o to złote runo. Jest moc takich, którym skrypta wprost — za przepro-

szeniem — śmierdzą, cała falanga ludzi wygodnych — wyobrażają oni sobie, że na guwernerce można się opychać jak Lukullus, spać do dziesiątej jak Gambrinus po stu litrach piwa, umizgać się do fraucymeru jak Longinus, no — i kabzę dobrze nasycić!

Daję słowo, że to wierutna blaga!

Guwernerka ma wprawdzie i swe *pro* dla tych, którzy jej faktycznie potrzebują, ale olbrzymio przeważne *contra* kością w gardle częstokroć stawa.

. . . .

Po długich obustronnych traktowaniach i wyjaśnieniach otrzymałem wreszcie guwernerkę u Jaśnie Oświeconych Książąt Bardzopolskich. Same przedwstępne formalności mogły człowieka nie tylko do objęcia posady, lecz wprost do całego *orbis terrarum* zniechęcić. Dwumiesięcznej korespondencyi na wołowej nie zmieściłby skórze — jakie tam kwestye nie były naruszane... niech Bóg uchowa!

Stosownie do życzenia Jaśnie Oświeconej Księżnej jestem dobrze wychowany, mam salonowe maniery, szyk wielkoświatowy, otwartą głowę, srogość i pobłażliwość, wszystkie mądrości światowe i zaświatowe w mózgownicy, kilka języków europejskich, pobożność św. Augustyna, jestem dalej nie socyalistą — a niech Bóg broni — odważnym, honorowym i... co kto chce. — Zastanowiwszy się nad memi zaletami, najpierw zgłupiałem, po dłuższej atoli kontemplacyi przyszedłem do przekonania, że przecież muszę być wielkim człowiekiem, skoro sobie Jaśnie Oświecona Księżna tego życzy. Wzamian za moją psychiczno-estetyczno-lingwistyczno-teologiczno-etyczną wartość otrzymuję 900 „łatów“ rocznie, a na dodatek dwoje J. O. Książątek.

Ale o tem potem. Rozpocznę *ab ovo.*

Stosownie do telegraficznego zawezwania przybyłem na miejsce po całodziennem twardnieniu na ławie trzecioklasowego wagonu.

Ósma wieczór... ciemności egipskie — deszcz leje jak z cebra.

Przed stacyą oczekiwał już na mnie angielski trzęsikoczyk, zaprzężony w cztery kasztany; na koźle dwóch wygolonych dżokejów, również angielskiej rasy, przypominających żywo tak rozpowszechnione u nas buldogi. Jeden z tychże, ruszywszy się z wygodnego siedzenia, bez najmniejszego powitania, zaświecił mi latarnią w oczy, zmierzył od głowy do kończyn mych nowych kamaszków, szmurgnął walizami pod siedzenie — raz jeszcze spojrzał na mnie z podełba i — wio... Półtorej mili jechaliśmy,

względnie płynęli po błocie, przy strugach deszczu, bez parasola, bez żadnego okrycia — coś okropnego! Kląłem, na czem świat stoi, ale koniec końcem zajechało się na miejsce.

Jakiś brodaty cerber z banalnem „całuję rączki pana „prefesora“ zabrał moje bagaże i skinieniem ręki wskazał na drzwi mego przyszłego apartamentu. Wszedłem...

Nad drzwiami napis: „Oficyna Nr. 2. Czerwony pokój z obrazami“, mitra książęca i herb rodu nad napisem.

Rozglądnąwszy się nieco, skonstatowałem istnienie kilkunastu bohomazów w popstrzonych ramach — prawdopodobnie jeszcze z okresu przedpotopowego, ściany o kolorycie koszernego mięsa. Autor szumnej nazwy mej rezydencyi musiał być najwidoczniej... daltonistą. Okna, ujęte w gęste kraty, mimowoli nasunęły myśl celi więziennej i — taką też ona była dla mnie niestety. Pod oknem łóżko zaslane piętrowymi materacami, etażerka w stylu chińskiej pagody, dwa średniowieczne stoły, familijna kanapa rzeźbiona szafka na ubrania, kilka złoconych krzesel *à la* Ludwik XIV, dwa biegunowe fotele, w kącie paw wypchany — dobrze, że chociaż już krzyczeć nie może — za drzwiami dziewiczy pokój francuzki. W głębi obszerna nyża i przedpokój, zawieszony niekompletem trofeów myśliwskich.

Wychodząc z tego stanowiska, że na dworach pańskich ściany mają uszy, a drzwi oczy, uznałem za stosowne obszerną dziurkę od klucza w podwojach prowadzących do mej sąsiadki skrzętnie wypchać watą. Jeżeli to zauważyła, mam w niej już śmiertelnego wroga.

Za chwil kilka zjawił się lokaj z kolacyą. Na widok obfitego „programu“ rozweseliło się me serce, gdyż Bogiem a prawdą głodny byłem jak wilk. Zaledwo atoli zdołałem coś z przyniesionej wieczerzy uszczknąć i przypadkowo jadłobiory obok talerza położyłem, stojący za mną, jak dyabeł nad grzeszną duszą, sługus, chwycił za tacę i ulotnił się ku wielkiemu memu oburzeniu. Skandal! — Wróciwszy za chwilę oświadczył, że jest mi oddany do usługi. Przypatrzyłem mu się teraz bliżej — twarz wcale inteligentna, fantastyczna broda, wąs zgolony, barwa liberyi popielatawofioletowa. Z wielkim trudem dowiedziałem się, że mu na imię Chari — także imię! — że mój poprzednik przed miesiącem wyjechał, gdyż się „z jaśnie panem powadził“, że dalej „jaśnie księżna“ to „nijaka do polskiego gadania“ i t. p. Z odpowiedniemi instrukcyami wyszedł.

Ładna perspektywa — myślę sobie.

Rozpakowawszy rzeczy położyłem się wkrótce, lecz nawał myśli długo sen z powiek odpędzał.

21. I. wtorek.

Nazajutrz przyoblekłem się w smok, wzięty nawiasowo „na kredę", założyłem białe rękawiczki, cylinder na głowę i jazda do palacu z przedstawinami. O sto może kroków sterczał najeżony wieżyczkami i basztami zameczek o niepewnym stylu — przed kolumnadą z białego marmuru kilka armat, nad bramą herb rodu z insygniami. Całość działała imponująco, gdyż oryginalny budowniczy wziął się za ręce z naturą i przetkał wprost swe dzieło całą kolekcyą najpiękniejszych gatunków drzew i krzewów.

Po drodze spotykały mnie ciekawe spojrzenia i półśmieszki „fraucymeru" i t. p. innej zbieraniny, lecz udałem *nota bene,* że tego nie widzę i, nadęty jak pęcherz, znalazłem się wreszcie w nader gustownie udekorowanej sali. Dokoła pełne rynsztunki husarzy polskich — rzadkie okazy broni wszelkiego gatunku siodła i kulbaki na sztelarzach, w kącie staroświecka lektyka, ściany wprost przepełnione portretami dobrze porodzonych przodków... na środku sali naprzeciwko złoconej galeryi nurzająca się w perskich dywanach wierna kopia znajdującego się w Louvrze trójnogu Pityi delfickiej. Z prawdziwym artyzmem wyrzeźbiony marmurowy kominek, wspierający się na bronzowych karyatydach, oraz z czarnych dębów w greckim stylu wykonane ławy dopełniały mniej więcej całości.

Wodząc wzrokiem po ścianach, powtarzałem sobie w duchu maksymę: „trzymaj nos wyżej jeszcze jak oni, a będziesz z pewnością poważany!"

Po kilku chwilach wyszedł nareszcie z bocznych drzwi jasny pan.

Człowiek mogący liczyć około czterdziestki, silny brunet bez zarostu, nadzwyczaj uprzejmy i elegancki. Po krótkiej dyskusyi, w której delikatnie kosztem mego poprzednika udzielił mi wskazówek postępowania, przedstawiono mi chłopców. Uczynili na mnie wrażenie ładnych... pudelków. Włosy rozpuszczone w lokach, sięgające ramion, spięte wyżej prawego ucha w niebieskie kokardy, mogły śmiało posłużyć za przedmiot zazdrości dla niejednej białogłowy.

Skreślono mi charaktery obu — starszy, istne żywe srebro, młodszy flegmatyk do niemożliwości.

To się trafia.

Sama księżna oscba w przekwicie wieku, lecz wcale jeszcze przystojna, majestatycznie oddała mi ukłon — no i rozpoczęła się konwersacya na temat wychowania pupilków.

Po cierpliwem przeglądnięciu kajetów z bohomazami od trzech lat (ładny zbiór, niema co mówić!), zabrałem się do mej oficyny Nr. 2, do — czerwonego pokoju z obrazami.

O pierwszej zawezwano mnie na śniadanie.

Trzech wyfraczonych famulusów roznosiło półmiski; pierwsza brała księżna, następnie pan, potem ja, na ostatku starszy chłopiec. Młodszy z francuzką i angielką jadał osobno.

Dań wprawdzie kilka, lecz więcej tam było na tych półmiskach przeróżnej zieleniny i dziwacznie powykrawanych papierów, aniżeli czego innego — a i tego nawet zjeść nie pozwolili. Talerze z nienaruszoną prawie zawartością usuwano mi z przed nosa. Początkowo nie wiedziałem, co to ma oznaczać, później dopiero dowiedziałem się, że tego wymagała — etykieta. Rzecz ta sama miała się i z obiadem, który się odbywa z wielką pompą o siódmej wieczorem. Niech djabli... o — przepraszam!

Ten jeden dzień bez lekcyi dał mi się już we znaki — a co to będzie później!...

22. 1. środa.

Mówią tu pięcioma — fakt — językami... istna wieża Babel — po polsku z wyjątkiem „jaśnie pana" najgorzej. Horrendum!

Z księżną konwersuję po niemiecku i w tymże samym języku mam ze starszym przerabiać lekcye... trzeba pomagać hakatystom w ich ciężkiem zadaniu, będą mieli w przyszłości dwóch więcej tak zwanych *Wasserpolaków*.

Język niemiecki znam wprawdzie dobrze, ale mimo tego pierwszych kilka dni byłem jak na tureckiem kazaniu. Mówią dyalektem i tak szybko, że trudno się wprost było początkowo połapać.

Następstwem tego były dla mnie wprost komiczne sytuacye. W rozmowie z księżną kiwałem jedynie głową, powtarzając machinalnie jedno i to samo słówko... bo i cóż miałem odpowiadać, skorom ją ledwo piąte przez dziesiąte rozumiał. Trzeba było nadrabiać minami, które były wprost odbitkami gry jej szacownego oblicza. O — mimika wyrabia się tutaj znakomicie.

Dzisiaj poczęła coś do mnie kłapać francuzka, tu przedstawiła się sprawa jeszcze gorzej; tylem tylko zdołał z urywanych

słów i tajemniczej miny wyrozumieć, że naigrawała się ze swych chlebodawców.

Rozłożywszy z rezygnacyą ręce, cofnąłem się do dziecinnego pokoju.

Tu oczekiwał mnie już starszy uczeń — Szasza.

Wiadomości nieszczególne, lecz spodziewałem się czegoś gorszego. Pojętny i inteligentny nadzwyczaj — zauważyłem chęć dowiedzenia się, co umię.

I faktycznie niektóre pytania wprowadzały mnie w kłopot, krytyczność jednak sytuacyi wysnuła cały szereg argumentów i zdań — to mu widocznie zaimponowało, gdyż spokorniał.

Zepsuty otwartem wygadywaniem na poprzednich tlukouków począł się poufalić, lecz kilkoma zręcznie rzuconemi zdaniami utarłem mu nosa, jak się patrzy. (C. d. n.)

Z CHWILI.

(W sprawie „Ogniwa". — Stanowisko akad. młodzi krakowskiej wobec oszczerczych obelg, rzucanych przez prasę na współkoleżanki.)

W dniach 5, 6 i 7 b. m. odbędzie się we Lwowie Zjazd delegatów Towarzystw kształcącej się młodzieży polskiej. Celem Zjazdu jest zogniskowanie się w jednem wspólnem stowarzyszeniu, którego statut został wreszcie po wielu kłopotach i zabiegach przez c. k. Namiestnictwo zatwierdzonym. — Stowarzyszenie to ma nazwę „Ogniwo", a z idei i celów, jakie podnosi, zasługuje na bezwarunkowe poparcie. Obawiamy się jedynie, by nie skończyło się, jak to się u nas zwykle dzieje, na... teoryi. Instytucya o takim programie, jaki zakreśliło sobie „Ogniwo", przy umiejętnej i sprężystej organizacyi i dzielnym Zarządzie, może odegrać w życiu młodzieży doniosłą nader rolę. „Ogniwo" ma stać na czele młodzieży polskiej, ma jej spieszyć z radą i czynną pomocą, ma ułatwiać prace naukowe i rozszerzać je na drodze własnych wydawnictw, ma ono być wreszcie dla nas źródłem informacyjnem we wszystkich obchodzących młodzież sprawach i tym duchowym łącznikiem, który nasze serca i umysły w jednego wielkiego narodowego ducha sprzęgnie. — Jeśli cel zostanie dokonanym — twórcy tej myśli z akademikiem A. Plutyńskim na czele dumni być mogą ze swego dzieła i wdzięczność im należy. Do Związku przystąpiły wszystkie prawie polskie Stowarzyszenia kształcącej się młodzieży w Austryi, od udziału cofnęło się jedynie kilka Towarzystw socyalistycznych. Na Zjazd, który się zapowiada świetnie, wyjeżdża również nasz redaktor i jeden z członków komitetu.

Ogólne sprawozdanie z powziętych uchwał i wniosków zamieścimy w najbliższym numerze.

. . . .

W ostatnich dniach wiele hałasu spowodowała zmyślona bezpodstawnie oszczercza wieść, jakoby kilka słuchaczek Uniwersytetu Jagiellońskiego popadło w stan macierzyński. Wieść tę przybrano w złośliwe komentarze, a w kilku

dniach ukazała się ona w bezwstydnej osnowie na łamach polskiej i niemieckiej prasy. Pierwszy przychwycił tę wiadomość „Dziennik poznański“, powtórzył „Wiek nowy“, a „Neue freie Presse“ i „Fremdenblatt“ wykorzystały po swojemu. W ostatnich dniach czytaliśmy wzmianki na ten temat w dziennikach krakowskich. Grono kolegów z medycyny podniosło publiczny protest, ale fakt faktem, że skutkiem oszczerstw cień na grono słuchaczek U. J. został rzucony.

Kto sprawcą tej podłej insynuacyi, na razie nie wiadomo.

Senat akademicki krakowski zajął się tą sprawą z całą gorliwością, a skonstatowawszy fakt, że rozszerzane wieści są prostem, prawdopodobnie z góry na sensacyę obmyślanem kłamstwem, rzuconą myśl, by hospitantkom odebrano prawo korzystania z Wszechnicy Jagiellońskiej – po dłuższej dyskusyi odrzucił.

Dotyczącą uchwałę przyjmujemy z uznaniem i wdzięcznością. Przeważna ilość hospitantek na krakowskim uniwersytecie na wykłady uczęszcza pilnie i z wykładów tych korzysta – wiele z nich pracuje dodatnio w akademickiem Kole „Szkoły Ludowej“ i w stowarzyszeniach. Zakaz korzystania z wszechnicy byłby dla nich wielką krzywdą.

Cała ta smutna nader i przykra sprawa zostanie najprawdopodobniej w najbliższym czasie wyjaśnioną – młodzież bowiem męska stanęła solidarnie w obronie spotwarzonych współkoleżanek. Do ogólnego protestu przyłączamy się i my z całą stanowczością! *(Y.)*

Sprostowanie.

Ponieważ doszły nas wieści, jakoby pismo nasze było subwencyonowane przez Czytelnię akad. im. A. Mickiewicza w Krakowie, a przez to równocześnie i jej organem, oświadczamy stanowczo, że wersya ta, tendencyjnie rozszerzana, jest niezgodna z prawdą — najlepszym dowodem na kłamliwość tego twierdzenia jest fakt, że sam naczelny redaktor nie jest członkiem tejże. Zaznaczamy przy tej sposobności, że na przyszłość na podobne przeciwko pismu zwracane insynuacye reagować nie będziemy, gdyż sam charakter pisma dla sprawiedliwie sądzących najlepszym będzie dowodem, jak redakcya przestrzega myśli wyrażonych we wstępnym programie.

Redakcya.

KONKURS.

Redakcya „Przyszłości“ rozpisuje konkurs na: 1) Winietę tytułową na okładkę, 2) Nowelę wziętą z życia młodzieży. Format pisma – szerokość 20 cm., wysokość 25 cm. – Winieta przeznaczoną jest na okładkę kolorową — ma zaś być wykonaną w jednej barwie. — Nagroda pierwsza w obu wypadkach wynosi 25, druga 15 koron, oraz listy pochwalne. Ostateczny termin nadsyłania prac upływa z dniem 1-go maja b. r. Wszelkie formalności konkursowe zachowane.

(Adres: Redakcya „Przyszłości“, Kraków, ul. Wielopole l. 5.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Adam Wiłusz.**
Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie pod zarządem L. K. Górskiego